

## **Łukasz Maślanka: Scenariusze rozbiorowe**

Bez nowego podejścia istniejące problemy na osi Północ-Południe i Wschód-Zachód będą się pogłębiać i prowadzi do erozji całej Wspólnoty i poszczególnych jej państw. Efektem końcowym nie będzie wymarzony przez Marksa uwiąd państwa, lecz nowy koncert (lub konflikt) – bardzo nielicznych – mocarstw - przeczytaj tekst z „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kryzys Europa.

Wielu Europejczyków z niepokojem obserwuje erozję państw narodowych. Opór wobec tej tendencji nasila się zwłaszcza w tych krajach, które mogą się poszczycić wielowiekową tradycją istnienia państwa organizującego życie wspólnoty narodowej: we Francji, w Anglii, Polsce i na Węgrzech. Nie oznacza to, by sceptycyzm wobec przekazywania coraz większe ilości kompetencji instytucjom unijnym był nieobecny w krajach , których unifikacja ma stosunkowo świeży rodowód, związany najczęściej z przebudzeniem ruchów narodowych w XIX wieku.

Przeciwko omnipotencji i wścibstwu Brukseli protestują północnowłoscy separatyści, Bawarczycy, zwolennicy niemieckiej PEGIDY. Eurosceptycyzm i eurorealizm nie jest zatem integralnie związany ze zwolennikami ponownego wzmocnienia państw narodowych. Warto jednak zauważyć, że propozycje dla Europy, które przedstawiają francuscy gaulliści, brytyjscy konserwatyści, przedstawiciele PiS-u czy Fidesu – mimo zasadniczych różnic między

sobą – są znacznie bardziej odpowiedzialne i wyważone. Nie prowadzą do chaosu. Walka o nowy, bardziej realistyczny kształt Europy musi być zatem prowadzona na dwóch frontach: przeciwko federalistycznym utopistom i przeciwko populistom oraz przedstawicielom ruchów odśrodkowych. W interesie eurokratów leży zniwelowanie wizerunkowych różnic pomiędzy swoimi kontestatorami po to, by zamienić dyskusję w przepychankę, zaś spór o Europę w ponurą alternatywę między scentralizowaną oligarchią a chaosem i klęską kolejnego rozbitcia dzielnicowego.

Szczególnie dramatycznie sytuacja przedstawia się w Hiszpanii, gdzie wielowiekowy etos jednolitej monarchii skupiających dawniej podzielone ziemie Półwyspu Iberyjskiego pozostaje w konflikcie z narodowościowymi ruchami odśrodkowymi, które nie bez uzasadnienia powołują się na sięgające średniowiecza przywileje lokalnej autonomii. W dzisiejszych warunkach stopiły się one z postulatami lewicy kulturowej, co tworzy niebezpieczny potencjał konfliktu zarazem ideologicznego i etnicznego, czyli – zachowując proporcje – cofa ten kraj do sytuacji z lat 30. XX wieku.

Okres dyktatury odznaczał się brutalnym tępieniem partykularyzmów regionalnych. Zainicjowany po śmierci generała Franco eksperyment liberalnej federacji pod symbolicznym berłem Burbonów, który przez całe dekady przedstawiany był jako modelowy dla innych krajów w transformacji, zaczął w ostatnich latach coraz bardziej szwankować. Złożyły się na to dwie przyczyny: głęboki kryzys gospodarki hiszpańskiej, który po latach nieprzerwanego wzrostu ujawnił sprzeczności i rozwarstwienie rozwojowe regionów, oraz upadek autorytetu monarchii, Kościoła i władzy centralnej (laicyzacja społeczeństwa, skandale korupcyjne oraz obyczajowe). Sytuacja, w

której dwa najbogatsze i tradycyjnie kooperujące z Berlinem regiony (Katalonia i Kraj Basków) oddzieliłyby się od Królestwa Hiszpanii, zaś w reszcie kraju do władzy doszliby zaprzyjaźnieni z Władimirem Putinem skrajni lewicowcy, byłaby dla Europy i całego świata atlantyckiego ogromną katastrofą geopolityczną. W newralgicznym – ze względu na bliskość Maghrebu – regionie mogłoby dojść do zastępczego konfliktu niemiecko-rosyjskiego, czyli powtórzenia jakiejś formy scenariusza z lat 30. lub obecnie trwającego konfliktu ukraińskiego. To oczywiście political-fiction, ale wiele nieprawdopodobnych rzeczy już wydarzyło się na naszych oczach od początku XXI wieku. Niebagatelne znaczenie ma też fakt, że katalońskie i baskijskie postulaty niepodległościowe stały się już elementem kultury masowej i na trwałe weszły do świadomości Europejczyków. Takie rzeczy nie dzieją się same z siebie, lecz są efektem długotrwałej i kosztownej pracy wizerunkowej. Secesjoniści mają swoich artystów, duchownych (w zasobach internetu znajduje się nawet prokatalońska wypowiedź znanego nam skądinąd ks. Krzysztofa Charamsy), miliardów, historyków, muzyków i pisarzy.

Niepodległość Katalonii i Euskadii opłaca się zatem wielu, ale nie opłaca się Europie. Niektórzy federaliści liczą na to, że euroentuzjizm państw *in spe*, katalońskiego i baskijskiego, przyspieszy proces integracji. Zwolennicy tego poglądu brną po raz kolejny w to, co obecnie Europę gubi: mnożenie efektywnych projektów ideologicznych, które mają zastąpić mozolną pracę nad synchronizowaniem europejskich gospodarek. Przykład Hiszpanii odzwierciedla w pewnym sensie problem całej Europy: nie ma efektywnej integracji bez sprawiedliwego podziału pracy między regionami i krajami członkowskimi. Odbudowanie zaufania między wspólnotami Hiszpanii, tak samo jak odbudowanie zaufania między krajami Północy i Południa, Wschodu i Zachodu UE mogłoby nastąpić przez zainicjowanie Wspólnej Polityki Przemysłowej, na wzór Wspólnej

Polityki Rolnej, prowadzącej do zmniejszenia różnic rozwojowych i wyznaczenie sprawiedliwszego podziału pracy. Swego czasu z podobną inicjatywą wystąpił premier Włoch Matteo Renzi. Fakt, że ten pomysł zignorowały Niemcy, oczywiście nie dziwi, ale my powinniśmy się poważnie zastanowić, czy popchnięcie integracji właśnie w kierunku realnej pracy gospodarczej nie byłoby w naszym interesie. Polska musi balansować między podzielającymi nasze obawy w kwestii bezpieczeństwa krajami Północy (współpraca z Wielką Brytanią, państwami skandynawskimi i państwami bałtyckimi) a znajdującymi się w podobnej sytuacji gospodarczej krajami Południa. Rodzi to całe mnóstwo aporii, ale polityków rozlicza się ze skuteczności, nie zaś z konsekwencji.

Galia, jak zauważył Cezar, podzielona była na trzy części, z których jedną zamieszkiwali Belgowie. To właśnie na cześć starożytnego plemienia nowopowstałe w wyniku działań rewolucyjnych 1830 roku państwo nazwano Belgią. Mieszkańców południowej części Niderlandów łączyła wówczas niechęć do władzy holenderskiej i katolicyzm, dzieliło zaś pochodzenie etniczne, kultura i język: część prowincji posługiwało się niderlandzkim, część francuskim. Styl życia we flamandzkiej części Belgii miał charakter miejski, zbliżony do holenderskiego, natomiast Walonowie – aż do okresu gwałtownego rozwoju przemysłu wydobywczego na przełomie XIX i XX wieku – ciążyli raczej ku wsi. Bunt przeciwko Holendrom miał w dużej mierze charakter ekonomiczny: na gospodarczej mapie Niskich Krajów część belgijska uchodziła za peryferyjną w stosunku do Północy. Niechęć do holenderskości zaowocowała po powstaniu Belgii prześladowaniami ludności flamandzkiej i siłowym promowaniem języka oraz kultury francuskiej. Ten stan rzeczy utrzymywał się aż do lat zupełnie niedawnych, gdy widać już było wyraźnie, że w w kwestiach gospodarczych dominującą rolę odgrywają Flamandowie. Rosnąca ich

frustracja zaowocowała powstaniem ruchów domagających się najpierw ciągłego poszerzania autonomii, a następnie utworzenia niezależnego państwa. Kazus belgijski łączy z hiszpańskim coraz częstsze odchodzenie społeczeństwa od Kościoła i lekceważenie monarchii: dwóch głównych elementów symbolicznych spajających belgijską państwowość. Niezwykle wysoki poziom życia tego kraju w połączeniu z brakiem jakichkolwiek wyzwań geopolitycznych doprowadził też do wykształcenia się tam (jak i w pozostałych krajach Beneluxu) bardzo specyficznej odmiany polityków. Uchodzą za niezwykle postępowych, ale paradoksalnie reprezentują mentalność patrycjuszki średniowiecznego miasta hanzeatyckiego, odrzucających identyfikację ze wspólnotą narodową na rzecz abstrakcyjnej jedności, ale jednocześnie akceptujących rozwiązania (choćby w sferze fiskalnej), które przynoszą niezwykle intratne korzyści obszarom przez nich zamieszkanym kosztem pauperyzacji innych. W rzeczywistości są najemnikami wielkiego mocarstwa akceptującego pasożytniczy charakter ich działalności w zamian za popieranie odpowiednich rozwiązań. Alternatywą dla nich jest – również charakterystyczna dla tego obszaru – skrajna prawica, nie tyle eurosceptyczna, co po prostu szowinistyczna i rasistowska.

Podział Belgii nie byłby dla Europy taką katastrofą, jak podział Hiszpanii czy Włoch. Problemy tego państwa są uciążliwe przede wszystkim dla jego mieszkańców oraz zamieszkujących Brukselę urzędników. Dochodzi jednak cały kompleks spraw związanych z niekontrolowaną imigracją muzułmańską oraz islamskim terroryzmem, który – jak się zdaje – uczynił sobie z tego sympatycznego kraju swoją bazę wypadową. Jest to efekt beztroskiej polityki i szaleństw ideologicznych elit tego kraju, która jednak nie bardzo różni się od tego, z czym mamy do czynienia w innych krajach zachodnich. Dopiero w połączeniu ze strukturalną słabością państwa belgijskiego

otrzymujemy prawdziwą mieszaninę wybuchową, na której siedzi cały europejski establishment. Sąsiednia Francja nie stroni od skrajnego zideologizowania polityki, ale posiada budzącą respekt armię, policję i służby specjalne, które są w stanie od czasu do czasu załatać niejedną dziurę. Belgia nie dysponuje takimi narzędziami, zaś połączenie konfliktu etnicznego z konfliktem religijnym może w przyszłości doprowadzić do bałkanizacji tego obszaru, choć bliskość Francji, Niemiec oraz wysoki poziom życia oddalają tę perspektywę.

Przypadek belgijski trudno też poczytywać za typową oznakę rozkładu europejskich państw narodowych. To raczej powstanie państwa belgijskiego było pewnego rodzaju ewenementem, konstruktem społecznym, który zastąpił typową dla całej „domeny Lotara” skłonność do kantonalnych partykularyzmów. Niepokój budzi raczej fakt, że politycy wywodzący się z krajów o tak nietypowym doświadczeniu uznają za stosowne pouczać społeczeństwa od wieków skupione wokół jednolitej wspólnoty państwowej o archaiczności tego typu ustroju. Być może utrzymywanie „stolicy Europy” w tak niedookreślonym tożsamościowo kraju nie jest optymalnym rozwiązaniem, gdyż kształtuje ogólnie sceptyczny stosunek eurokracji do konstrukcji państwa narodowego. Otwartym pozostawię pytanie, czy tego typu tendencje są promowane z nadzieją na spełnienie wielkiego marzenia federalistów o europejskim „demosie” czy też mają na celu to, do czego w rzeczywistości takie działania prowadzą: uczynienie z osłabionych państw europejskich (zwłaszcza tych średnich i średnio-małych) areny walki wielkich imperiów.

Upadek Unii Europejskiej można powstrzymać poprzez skuteczną walkę z jej oligarchizacją. Oligarchizacja ma oblicze polityczne: dominacja wielkich państw i przekupywanie państw bardzo małych przez te kraje

europiejskie, które nie wyzbyły się hegemonicznych ambicji. Ma ona jednak również aspekt gospodarczy: cała Europa, niczym Polska pod rządami Donalda Tuska, rozwija się według modelu polaryzacyjno-dyfuzyjnego. Pośród wrzasku populistów i pełnych patosu sloganów federalistów musi przedrzeć się również głos rozsądku. Potrzebne jest cofnięcie się na drodze integracji instytucjonalno-politycznej i jednocześnie rozpoczęcie realnych działań na rzecz zmniejszenia różnic w rozwoju gospodarczym między krajami członkowskimi, a także między regionami poszczególnych krajów. Prawdziwa dyskusja o Europie to dyskusja o sprawiedliwym podziale pracy. Nie rozwiąże on wszystkich problemów: opisany tu pokrótce przypadek Belgii wymyka się analizie czysto gospodarczej. Bez nowego podejścia istniejące problemy na osi Północ-Południe i Wschód-Zachód będą się pogłębiać i prowadzi do erozji całej Wspólnoty i poszczególnych jej państw. Efektem końcowym nie będzie wymarzony przez Marksa uwiąd państwa, lecz nowy koncert (lub konflikt) – bardzo nielicznych – mocarstw.